Kto pierwszy powie zostań

Nie każda wspólna praca oznacza wspólną przyszłość



Laura Bellini

Kto pierwszy powie zostań

Nie każda wspólna praca oznacza wspólną przyszłość

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384904213

ALL-IN Rafał Płonkowski

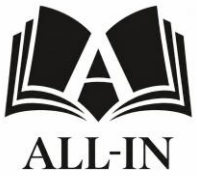

SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki współpracy..... 11
Rozdział 2 - Granice i wspólny język..... 21
Rozdział 3 - Kiedy plan przestaje wystarczać..... 34
Rozdział 4 - Poza marginesem..... 44
Rozdział 5 - Prawo do odmowy..... 58
Rozdział 6 - Chwila, której nie planowałam..... 69
Rozdział 7 - Poranek po zmianie 82
Rozdział 8 - Świat poza rezydencją 92
Rozdział 9 - Ryzyko wspólnej decyzji 105
Rozdział 10 - Wszystko, czego nie da się zaplanować 116
Rozdział 11 - Poranek bez obietnic 128
Rozdział 12 - Wiadomość bez mojego nazwiska.....138
Rozdział 13 - Cena własnych wyborów.....147
Rozdział 14 - Prawda w niepełnym świetle.....156
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie powiedziałeś 169
Rozdział 16 - Miejsce na dystans 181
Rozdział 17 - Życie, które nie może czekać 193
Rozdział 18 - Oferta na stole.....204
Rozdział 19 - Wybór, który coś kosztuje 217
Rozdział 20 - Kiedy oboje wybierają zostać..... 230

INTRO

Do Bieszczad przyjechałam z trzema walizkami, tubą pełną papierów i planem, którego nie zamierzałam zmieniać dla nikogo.

Przynajmniej tak sobie powtarzałam, kiedy samochód wspinał się wąską, mokrą drogą, a kolejne zakręty odsłaniały coraz bardziej odległe od cywilizacji wzgórza. Deszcz przestał padać kilkanaście minut wcześniej, ale gałęzie drzew wciąż ociekały wodą. Mgła osiadała na zboczach, przesuwając się powoli między ciemnymi świerkami. Gdzieś niżej musiał płynąć potok. Nie widziałam go, ale słyszałam jego jednostajny szum.

Rezydencja pojawiła się za ostatnim zakrętem. Stary, rozległy budynek z drewnianą werandą, wysokimi oknami i kamiennymi schodami wyglądał tak, jakby od dawna nie musiał nikomu niczego udowadniać. Nie był luksusowy w nowoczesnym znaczeniu tego słowa. Miał za to coś, czego brakowało większości miejsc, w których ostatnio pracowałam — ciszę, która nie wydawała się sztuczna.

Zaparkowałam przed wejściem i przez chwilę nie wysiadałam.

Przyjechałam tutaj na kilka tygodni, żeby współtworzyć książkę artystyczną. Miałam odpowiadać za ilustracje, ich kompozycję i wizualną opowieść. Moim zadaniem nie było ozdabianie cudzych zdań. Chciałam, żeby obrazy miały własny głos, żeby nie stanowiły jedynie eleganckiego tła dla tekstu. Zgodziłam się na współpracę, ponieważ temat projektu był mi bliski, warunki pozwalały zachować niezależność, a wynagrodzenie dawało mi wreszcie trochę oddechu.

Miałam jednak jeszcze jeden plan.

W czasie pobytu zamierzałam przygotować pierwszą część własnego portfolio. Od miesięcy odkładałam ten projekt, zawsze znajdując coś pilniejszego, bardziej opłacalnego albo wymagającego natychmiastowej odpowiedzi. Tym razem chciałam przeznaczyć na niego poranki. Bez telefonów, bez konsultacji, bez poprawiania cudzych pomysłów. Tylko ja, papier i obrazy, które od dawna czekały w mojej głowie na właściwy moment.

Wieczory miały należeć do odpoczynku.

To wydawało mi się rozsądnym układem.

Wniosłam pierwszą walizkę po schodach i nacisnęłam klamkę. W środku pachniało drewnem, kawą i czymś jeszcze — może starymi książkami, których grzbiety wypełniały regały w przestronnym holu. Na ścianach wisiały fotografie gór, a przy schodach stał niewielki stolik z ceramicznym wazonem. Zza drzwi po prawej dobiegały głosy pracowników przygotowujących jadalnię.

Zanim zdążyłam zapukać do recepcji, usłyszałam za sobą:

— Pani Aniela Żur?

Odwróciłam się. Kobieta w granatowym swetrze trzymała pod pachą notes.

— Tak. Mam nadzieję, że nie przyjechałam za wcześnie.

— W sam raz. Pokój jest przygotowany. Pański współpracownik dotarł już przed południem.

Nie spodobało mi się to określenie. Współpracownik. Brzmiało niewinnie, ale w praktyce mogło oznaczać wszystko — od osoby, która szanuje ustalone role, po kogoś

przekonanego, że wspólny projekt daje mu prawo do zarządzania cudzą pracą.

— Lesław Roj? — upewniłam się.

— Zgadza się. Jest teraz na werandzie. Chyba przegląda materiały.

Skinęłam głową, odbierając klucz.

Nie zamierzałam szukać go od razu. Najpierw chciałam zobaczyć pokój, rozpakować najważniejsze rzeczy i znaleźć miejsce, w którym mogłabym spokojnie pracować. Miałam już wystarczająco dużo doświadczeń z ludźmi, którzy pierwszego dnia potrafili rozmawiać o wspólnej wizji, a drugiego wysyłali uwagi dotyczące każdego szczegółu.

Mój pokój znajdował się na piętrze. Był jasny, z dużym oknem wychodzącym na ogród i niewielkim biurkiem ustawionym przy ścianie. Położyłam na nim szkicownik, zdjęłam płaszcz i podeszłam do okna. W oddali widać było fragment werandy, na której stały dwa drewniane fotele.

Właśnie tam chciałam później pracować.

Zabrałam szkicownik i zeszłam na dół. Nie miałam ochoty spędzać pierwszego wieczoru w zamkniętym pokoju. Powietrze po deszczu było chłodne, ale przyjemne. Na werandzie panował półmrok, a miękkie światło lamp wydobywało z drewna ciepłe odcienie.

Przy jednym ze stolików siedział mężczyzna.

Miał przed sobą otwarty laptop, kilka wydruków i filiżankę kawy. Był ubrany w ciemny sweter, a rękawy miał niedbale podwinięte. Nie wyglądał na kogoś, kto przyjechał tutaj odpoczywać. Raczej na człowieka, który potrafił pracować w każdych warunkach, jeśli tylko miał dostęp do kawy i stabilnego połączenia internetowego.

Podniosłam szkicownik, żeby nie przeszkadzać, i ruszyłam w stronę wolnego fotela.

Wtedy wiatr poderwał jedną z luźnych kartek, którą najwyraźniej zostawiłam niedostatecznie zabezpieczoną między stronami. Papier przeleciał przez werandę i zatrzymał się przy nodze mężczyzny.

Podniósł go, zanim zdążyłam zareagować.

— Chyba należy do pani.

Podeszłam i wyciągnęłam rękę.

— Dziękuję.

Nie oddał mi kartki od razu. Przyglądał się rysunkowi przedstawiającemu starą kamienicę z oknami, w których odbijało się światło zachodzącego słońca.

— Ładne — powiedział.

— Wiem.

Uniósł wzrok. Przez moment wyglądał na zaskoczonego, a potem się uśmiechnął.

— Przynajmniej nie musi pani udawać skromności.

— A pan nie musi udawać krytyka sztuki. To tylko szkic.

— Nie udaję. Po prostu lubię rzeczy, które nie próbują być czymś innym, niż są.

Oddał mi kartkę.

Jego głos był spokojny, odrobinę niższy, niż się spodziewałam. Mówił bez pośpiechu, jakby nie miał potrzeby wypełniać każdej ciszy. Zauważyłam też, że nie patrzył na mnie w sposób, do którego przyzwyczaiły mnie niektóre zawodowe spotkania. Nie oceniał ubrania, nie szukał potwierdzenia własnej pozycji. Po prostu słuchał.

To było niepokojąco przyjemne.

— Przyjechała pani do pracy? — zapytał.

— Zdecydowanie. Chociaż mam nadzieję, że miejsce nie będzie przeszkadzać.

— Bieszczady rzadko przeszkadzają. Ludzie częściej.

— W takim razie mamy podobne doświadczenia.

Tym razem uśmiechnął się wyraźniej.

— Lesław Roj.

Nazwisko zabrzmiało znajomo. Przez sekundę nie potrafiłam połączyć go z żadną twarzą, choć przecież od tygodni wymieniałam z nim wiadomości dotyczące projektu. Znałam jego uwagi, poprawki i sposób formułowania komentarzy. Wiedziałam, że jest redaktorem literackim. Nie znałam tylko jego wyglądu.

— Aniela Żur — odpowiedziałam.

— Wiem.

— To trochę niepokojące.

— Mam nadzieję, że nie bardziej niż pani odpowiedź na moje uwagi do ostatniej wersji materiałów.

Oparłam szkicownik o stolik.

— Jeśli chodzi o te uwagi, nadal uważam, że niektóre z nich nie uwzględniają charakteru ilustracji.

— A ja nadal uważam, że czytelnik powinien mieć możliwość wejścia w książkę, nie tylko podziwiania jej z zewnątrz.

— Czyli zaczynamy od różnicy zdań?

— Wygląda na to, że nie potrzebowaliśmy nawet oficjalnego spotkania.

Nie odpowiedziałam od razu. Właśnie tego się obawiałam. Nie samej różnicy zdań, ale sposobu, w jaki potrafiła ona rozlać się na cały proces pracy. Nie zamierzałam oddawać kontroli nad ilustracjami tylko dlatego, że ktoś potrafił przekonująco mówić o potrzebach czytelnika.

— Ustalimy wszystko jutro — powiedziałam w końcu. — Dzisiaj chciałabym po prostu nacieszyć się ciszą.

— Rozumiem.

Zamknął laptop i odsunął wydruki, robiąc miejsce na stoliku.

Ten gest był drobny, ale zauważyłam go. Nie próbował zatrzymać mnie rozmową, nie dopisywał kolejnych argumentów, nie traktował mojego wycofania jako zaproszenia do negocjacji.

— W takim razie życzę spokojnego wieczoru, pani Anielo.

— Wzajemnie, panie Lesławie.

Odeszłam kilka kroków, zanim przypomniałam sobie o szkicowniku. Zostawiłam go na fotelu, a on, zauważywszy to, podniósł go i podał mi bez komentarza.

Nasze palce zetknęły się na krótką chwilę. Nic szczególnego. Zwykły przypadek, któremu nie należało przypisywać znaczenia.

A jednak, kiedy wróciłam do pokoju, przez dłuższą chwilę nie potrafiłam skupić się na własnych rysunkach.

Przez okno widziałam ciemniejący ogród. Na werandzie wciąż paliła się lampa, a za szybą przesunęła się sylwetka Lesława. Wrócił do pracy. Mnie natomiast zaczęła uwierać myśl, że człowiek, z którym miałam spędzić najbliższe tygodnie, okazał się znacznie trudniejszy do zaszufladkowania, niż sugerowała jego korespondencja.

Wyjęłam z torby kalendarz i otworzyłam go na stronie z rozpisanym planem pobytu. Poranki dla mnie. Popołudnia dla projektu. Wieczory bez zobowiązań. Żadnych dodatkowych ustaleń, żadnych niepotrzebnych kompromisów.

Przesunęłam palcem po zapisanych godzinach, jakbym mogła w ten sposób upewnić się, że nadal należą do mnie.

Nie wiedziałam jeszcze, czy Lesław będzie dobrym redaktorem. Nie wiedziałam, czy potrafi uszanować cudzą wizję ani czy nasze zawodowe różnice okażą się twórcze, czy po prostu męczące. Wiedziałam natomiast, że jego obecność już pierwszego wieczoru zmieniła coś w moim starannie przygotowanym planie.

I po raz pierwszy od dawna zadałam sobie pytanie, którego wcale nie chciałam zadawać: czy jeśli jutro okaże się kimś więcej niż tylko trudnym współpracownikiem, będę umiała pozwolić mu zostać choć odrobinę dłużej?

Rozdział 1 - Warunki współpracy

Następnego ranka obudziłam się wcześniej, niż planowałam. Za oknem wciąż wisiała mgła, a mokre gałęzie drzew poruszały się nieznacznie na wietrze. Przez kilka minut leżałam bez ruchu, słuchając odgłosów rezydencji. Ktoś przesunął krzesło na korytarzu, gdzieś na dole zamknęły się drzwi, a potem rozległ się cichy dźwięk ekspresu do kawy. Zwyczajny poranek, który powinien należeć wyłącznie do mnie.

Sięgnęłam po szkicownik. Na ostatniej stronie znajdowała się rozpoczęta kompozycja, nad którą pracowałam jeszcze przed przyjazdem. Przedstawiała wnętrze pustego pokoju, widziane przez uchylone drzwi. Nie było w nim żadnej postaci, jedynie światło padające na podłogę i cień zasłony. Chciałam rozwinąć ten motyw w cykl ilustracji do własnego portfolio. Miałam już kilka pomysłów, ale wciąż brakowało mi czasu, żeby nadać im ostateczną formę.

Przesunęłam ołówkiem po krawędzi okna. Wystarczyło kilka minut, żebym znów poczuła, że odzyskuję kontrolę nad własnym dniem.

O dziewiątej miałam spotkanie z Lesławem i koordynatorką projektu. Do tego czasu zamierzałam skończyć szkic, zjeść śniadanie i przygotować się na rozmowę. Nie przewidywałam trudności. W końcu oboje wiedzieliśmy, na czym polegają nasze obowiązki. Ja odpowiadałam za stronę wizualną, on za tekst i redakcję. Wspólna książka nie oznaczała, że mieliśmy wspólnie podejmować każdą decyzję.

O dziewiątej pięć zeszłam do sali bibliotecznej.

Pomieszczenie znajdowało się w bocznym skrzydle rezydencji. Wysokie okna wychodziły na ogród, a pod jedną ze ścian ustawiono długi stół z kilkoma lampami. Na jego powierzchni leżały wydrukowane fragmenty tekstów, teczki i próbki papieru. Lesław siedział przy oknie. Miał na sobie jasną koszulę z podwiniętymi rękawami i ciemne spodnie. Czytał coś na ekranie laptopa, a obok trzymał kubek kawy.

Podniósł głowę, kiedy weszłam.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry. Widzę, że zdążył pan już zagospodarować połowę stołu.

— Tylko tę część, której nie zajęły dokumenty.

— Dokumenty nie potrzebują aż tyle miejsca.

— To zależy od dokumentów.

Nie uśmiechnęłam się, choć jego odpowiedź była całkiem udana. Odłożyłam szkicownik na wolnym końcu stołu i zdjęłam płaszcz.

Po chwili dołączyła do nas Marta, koordynatorka rezydencji i osoba odpowiedzialna za kontakt z wydawnictwem. Przyniosła trzy egzemplarze harmonogramu oraz niewielką teczkę z materiałami dotyczącymi książki. Miała około czterdziestu lat, krótkie włosy i sposób mówienia, który nie pozostawiał wątpliwości, że lubi mieć wszystko uporządkowane.

— Dobrze, że jesteście. Chciałabym, żebyśmy dzisiaj zamknęli najważniejsze kwestie organizacyjne. Nie musicie rozstrzygać każdej ilustracji ani każdego zdania, ale potrzebujemy wspólnego rozumienia tego, czym ta książka ma być.

Usiadłam naprzeciwko Lesława.

Marta otworzyła teczkę i wyjęła pierwszą stronę projektu. Na górze widniał roboczy tytuł: „Rzeczy, które zostają". Poniżej znajdował się opis publikacji, który znałam już z wcześniejszych materiałów.

Książka miała opowiadać o miejscach noszących ślady ludzkiej obecności, nawet wtedy, gdy ich pierwotna funkcja dawno przestała istnieć. O domach, pokojach, warsztatach, dworcach i przestrzeniach, które zmieniły właścicieli albo przeznaczenie. Teksty miały łączyć osobiste wspomnienia, obserwacje i krótkie formy literackie. Ilustracje nie miały dokumentować konkretnych budynków, lecz wydobywać z nich emocjonalny sens.

To właśnie ten pomysł przekonał mnie do przyjęcia zlecenia. Nie chciałam tworzyć kolejnego albumu z ładnymi obrazkami. Interesowało mnie to, co zostaje w człowieku po opuszczeniu jakiegoś miejsca. Czasem była to pamięć o osobie, czasem zapach, czasem przedmiot, którego nikt nie miał odwagi wyrzucić.

— Proponuję zacząć od struktury — powiedział Lesław. — Jeśli mamy trzydzieści tekstów, musimy ustalić, jak będą ze sobą rozmawiały.

— Nie sądzę, żeby wszystkie musiały ze sobą rozmawiać — odpowiedziałam. — Niektóre mogą istnieć samodzielnie.

— Mogą. Ale czytelnik powinien mieć poczucie, że przechodzi przez książkę, a nie przegląda przypadkowy zbiór materiałów.

— Nie wszystkie historie wymagają wspólnego kierunku.

— Nie wymagają. Wymagają natomiast świadomej kolejności.

Otworzył jeden z wydruków. Zobaczyłam fragment tekstu o starym domu, w którym przez lata mieszkało kilka pokoleń

jednej rodziny. Autor opisywał stół, przy którym spotykano się w niedziele, i pokój, którego nikt nie chciał używać po śmierci najstarszej mieszkanki.

— Ten tekst nie powinien sąsiadować z historią o zamkniętej stacji kolejowej — kontynuował. — Nie dlatego, że są słabsze albo mocniejsze. Po prostu mówią o innym rodzaju straty.

— A może właśnie dlatego powinny się znaleźć obok siebie? — zapytałam. — Jedna historia o utracie miejsca, druga o utracie codzienności. Czytelnik sam może znaleźć między nimi połączenie.

Lesław spojrzał na mnie uważniej.

— To interesujące. Ale nie może pani zakładać, że każde zestawienie będzie działało tylko dlatego, że ma pani do niego wizualny pomysł.

— Nie zakładam. Właśnie dlatego chcę zobaczyć całość, zanim podejmę decyzję o ilustracjach.

— A ja chcę zobaczyć propozycje ilustracji, zanim zamknę kolejność tekstów.

Przez moment patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Marta odchrząknęła.

— Właśnie dlatego spotykamy się razem — powiedziała. — Nie musicie się zgadzać od pierwszej minuty. Musicie znaleźć sposób pracy, który pozwoli wam wykorzystać kompetencje drugiej osoby.

Oparłam dłonie na stole.

— Mam jeden warunek. Nie chcę, żeby teksty zaczęły dyktować mi sposób rysowania. Jeżeli zdecyduję, że dana ilustracja będzie abstrakcyjna albo pozbawiona konkretnego

przedmiotu, nie chciałabym otrzymywać uwag, że powinna przedstawiać dokładnie to, co opisano w tekście.

Lesław odsunął wydruk.

— Nie zamierzam zamawiać u pani ilustracji do każdego akapitu. Ale jeśli obraz zmieni znaczenie fragmentu, musimy o tym rozmawiać.

— Rozmawiać możemy.

— To nie to samo co zatwierdzać po fakcie.

Zauważyłam, że nie podnosił głosu. Nie próbował też wykorzystać obecności Marty, żeby przeforsować swoje stanowisko. Mówił spokojnie, ale nie ustępował. Było w tym coś irytującego, a jednocześnie trudnego do zlekceważenia.

— Chce pan mieć wpływ na ilustracje?

— Chcę mieć wpływ na książkę, za którą odpowiadam redakcyjnie. Pani ma wpływ na obrazy. Nie widzę powodu, żebyśmy udawali, że te dwie rzeczy nigdy się nie spotkają.

— A ja nie widzę powodu, żeby każdą różnicę traktować jak błąd wymagający poprawienia.

Marta przesunęła w naszą stronę harmonogram.

— Może ustalmy procedurę. Najpierw przygotujecie niezależne propozycje. Lesław opracuje kolejność tekstów, Aniela przedstawi koncepcję wizualną. Potem odbędziecie wspólną konsultację i zdecydujecie, które elementy wymagają zmian. Nie będziemy zatwierdzać niczego bez udziału obojga.

— To brzmi rozsądnie — powiedziałam.

— Pod warunkiem, że konsultacja nie będzie polegała na wysyłaniu sobie uwag po zakończeniu pracy — dodał Lesław.

Spojrzałam na niego.

— Ma pan wyjątkową zdolność komplikowania prostych ustaleń.

— Zawodowe skrzywienie.

— W takim razie mam nadzieję, że nie jest nieuleczalne.

Tym razem Marta się roześmiała. Lesław również, choć jego uśmiech był znacznie bardziej powściągliwy.

Wróciliśmy do harmonogramu. Ustaliliśmy terminy pierwszych propozycji, liczbę spotkań i sposób przekazywania materiałów. Moje poranki miały pozostać wolne od obowiązkowych konsultacji, z wyjątkiem sytuacji, w których oboje wcześniej zgodzimy się na zmianę. Popołudnia przeznaczyliśmy na pracę nad wspólną publikacją.

Zależało mi na tym zapisie bardziej, niż chciałam przyznać. Nie przyjechałam w Bieszczady po to, żeby po raz kolejny podporządkować własne projekty cudzemu kalendarzowi.

— Nie chcę też, żebyśmy wzajemnie poprawiali swoje materiały bez wcześniejszej rozmowy — powiedziałam, kiedy Marta zapisywała ostatnie ustalenia.

Lesław odłożył długopis.

— Zgadzam się, pod warunkiem że nie będziemy traktować każdej sugestii jako ingerencji w kompetencje drugiej osoby.

— Mogę obiecać, że wysłucham argumentów.

— To już coś.

— Niech pan nie przyzwyczaja się do zbyt szybkich sukcesów.

Przez krótką chwilę jego spojrzenie zatrzymało się na mojej twarzy. Nie było w nim triumfu. Raczej rozbawienie człowieka, który właśnie odkrył, że rozmowa będzie trudniejsza, ale prawdopodobnie ciekawsza, niż zakładał.

Po spotkaniu Marta wyszła odebrać telefon. Zostałam z Lesławem przy stole, porządkując wydruki. Wzięłam do ręki kilka stron, które leżały obok jego laptopa.

— To wszystkie teksty? — zapytałam.

— Większość. Kilka wymaga jeszcze zgody autorów na skróty.

— A pan już wie, które są najważniejsze?

— Nie. Wiem, które są najmocniejsze na pierwszy rzut oka. To nie zawsze to samo.

Zainteresowało mnie to bardziej, niż powinno.

— Dlaczego?

— Bo tekst, który robi największe wrażenie przy pierwszym czytaniu, niekoniecznie zostaje w człowieku najdłużej. Czasami najważniejsze zdanie jest gdzieś w środku, prawie niezauważalne.

Przeglądałam kartki. Jedna z nich zawierała opis niewielkiego pokoju, w którym przez kilkadziesiąt lat działał zakład krawiecki. Właścicielka nie chciała się wyprowadzić, mimo że budynek przeznaczono do remontu. Autor tekstu opisał jej przyzwyczajenie do odkładania nożyczek zawsze w to samo miejsce.

— To jest dobre — powiedziałam.

— Też tak uważam.

— Ale nie wiem, czy powinnam to ilustrować dosłownie.

— Nie powinna pani.

Podniosłam wzrok.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Gdybym chciał zobaczyć nożyczki na stole, kupiłbym katalog wyposażenia pracowni.

Roześmiałam się, zanim zdążyłam się powstrzymać.

— To pierwszy rozsądny argument, jaki dzisiaj usłyszałam.

— Proszę go zapisać. Może się jeszcze przydać.

Przez chwilę porządkowaliśmy dokumenty bez rozmowy. Zauważyłam, że Lesław nie układał ich według numerów, lecz według niewielkich karteczek z własnymi notatkami. Każda miała inny kolor, a na niektórych widniały pojedyncze słowa: „powrót", „brak", „codzienność", „świadek".

— Pan naprawdę wszystko tak oznacza? — zapytałam.

— Tylko rzeczy, których nie chcę zgubić.

— A jeśli pan zgubi karteczkę?

— Wtedy muszę przeczytać tekst jeszcze raz.

— Czyli system opiera się na pamięci.

— I na tym, że nie wyrzucam papierów w pośpiechu.

Spojrzałam na stos kartek. W jego uporządkowanym chaosie było coś zaskakująco osobistego. Nie wyglądał na człowieka, który pracuje mechanicznie. Zauważał drobiazgi, ale nie potrzebował o nich mówić w sposób demonstracyjny.

— Pani też wszystko rysuje? — zapytał.

— Nie wszystko.

— Szkoda.

— Dlaczego?

— Bo chciałbym zobaczyć, jak wyglądałaby ilustracja pańskiego systemu notatek.

— Proszę bardzo. Prawdopodobnie narysowałabym człowieka, który próbuje uporządkować bałagan, zamiast po prostu wyrzucić połowę kartek.

— To byłby portret dość bezlitosny.

— Nie obiecywałam, że będzie pochlebny.

Uśmiechnął się, a ja po raz pierwszy pomyślałam, że być może łatwiej będzie nam rozmawiać, niż przewidywałam. Nie oznaczało to jeszcze, że będziemy umieli współpracować. Dobry dialog nie rozwiązywał problemów zawodowych, a wzajemna sympatia nie była argumentem w sprawie kompozycji książki.

Zabrałam szkicownik i ruszyłam do wyjścia.

— Anielo?

Odwróciłam się.

— Tak?

— Wiem, że ustaliliśmy niezależne propozycje. Ale chciałbym, żebyśmy jutro porozmawiali o jednym tekście. Tym o zakładzie krawieckim. Mam wrażenie, że można z niego zbudować coś ważniejszego niż pojedynczy rozdział.

— Proszę przesłać mi materiały.

— Mogę. Ale wolałbym najpierw usłyszeć, co pani w nim widzi.

Zastanowiłam się.

— Jutro po południu. Jeśli nie będzie pan próbował decydować za mnie, co mam narysować.

— A jeśli będę miał dobrą sugestię?

— Wtedy będzie pan mógł ją przedstawić.

— Uczciwy układ.

— Na razie.

Wyszłam z biblioteki z poczuciem, że spotkanie nie zakończyło się dokładnie tak, jak planowałam. Nie straciłam jednak żadnej z ważnych dla mnie rzeczy. Moje godziny zostały zabezpieczone, role określone, a zakres odpowiedzialności zapisany.

Mimo to, kiedy wracałam do pokoju, myślałam nie o harmonogramie, lecz o jednym zdaniu Lesława. Chciał najpierw usłyszeć, co ja widzę.

Nie przypominałam sobie, żeby którykolwiek z ostatnich zleceniodawców zadał mi podobne pytanie.

To nie wystarczało, żeby komuś zaufać. Wystarczało jednak, żeby następnego dnia nie spieszyć się z zakończeniem rozmowy.

Rozdział 2 - Granice i wspólny język

Następnego dnia poświęciłam poranek własnym ilustracjom. Zamknęłam drzwi pokoju, wyciszyłam telefon i rozłożyłam na biurku kilka arkuszy papieru. Chciałam przygotować serię szkiców, zanim zacznę myśleć o książce, nad którą pracowaliśmy z Lesławem. Nie dlatego, że projekt przestał mnie interesować. Po prostu potrzebowałam przypomnienia, że moje zawodowe życie nie zaczynało się i nie kończyło na jednym zleceniu.

Około południa zadzwoniła do mnie Marta. Poinformowała, że w jadalni czeka na mnie przesyłka z próbkami papieru, a po obiedzie możemy skorzystać z niewielkiej pracowni na parterze. Miała tam zostać przygotowana przestrzeń do wspólnych konsultacji.

Zeszłam na dół z teczką szkiców. Lesław siedział już przy stole w jadalni. Przed nim leżał otwarty notatnik, a obok stał talerz z kanapką, której najwyraźniej nie zdążył dokończyć.

— Dzień dobry — powiedziałam.

— Dzień dobry. Jak poranek?

— Mój.

Spojrzał na mnie z lekkim rozbawieniem.

— Rozumiem. Nie będę pytał o szczegóły.

— To rozsądne.

Wskazał krzesło naprzeciwko.

— Przyniosłem tekst o zakładzie krawieckim. Pomyślałem, że możemy od niego zacząć.

Usiadłam i wyjęłam własne notatki.

— Przeczytałam go wczoraj wieczorem. Nie jestem przekonana do proponowanego zakończenia.

— Ja również.

— To dobrze. Przynajmniej nie będziemy musieli się spierać o wszystko.

— Nie przywiązywałbym się do tej nadziei.

Podał mi wydruk. Przeczytałam zaznaczony fragment. Historia dotyczyła kobiety, która prowadziła niewielki zakład krawiecki przez ponad trzydzieści lat. Po zamknięciu lokalu przeniosła część wyposażenia do mieszkania, ale nigdy już nie wróciła do pracy. W tekście pojawiała się wzmianka o maszynie stojącej przy oknie i o śladach po krzesłach na drewnianej podłodze.

— Autor kończy to zdaniem o pustym pomieszczeniu — powiedział Lesław. — Moim zdaniem zbyt łatwo domyka historię.

— Bo czytelnik dostaje gotowy wniosek?

— Właśnie. Wszystko zostaje wyjaśnione, zanim zdąży zadać sobie pytanie.

Przesunęłam palcem po wydruku.

— Ja widzę to inaczej. Nie chciałabym rysować samego zakładu. Bardziej interesuje mnie moment, w którym ktoś przestaje być potrzebny miejscu, w którym spędził pół życia.

— To mocne.

— Ale nie chcę robić z tej kobiety symbolu. To była konkretna osoba. Miała swoje przyzwyczajenia, klientów, pewnie też dni, kiedy nie miała ochoty rozmawiać z nikim.

— Czyli ilustracja powinna pokazywać codzienność, nie stratę?

— Może jej ślad. Na przykład blat, na którym zostały drobne nacięcia. Albo światło na ścianie, gdzie kiedyś wisiało lustro. Nie chcę rysować pustki jako wielkiego, dramatycznego wydarzenia.

Lesław przez chwilę milczał. Potem wziął długopis i dopisał coś na marginesie.

— A tekst? — zapytał.

— Powinien kończyć się wcześniej. Na zdaniu o tym, że kobieta nadal odkładała nożyczki w tym samym miejscu, chociaż nie miała już stołu, na którym mogłaby ich używać.

Podniósł głowę.

— Tego zdania nie ma w obecnej wersji.

— Jest w środku. Można przesunąć je na koniec.

— I usunąć ostatni akapit?

— Tak.

Nie odpowiedział od razu. Przeczytał fragment jeszcze raz, po czym odłożył długopis.

— Zgadzam się.

Zaskoczyło mnie, jak łatwo to powiedział. Przygotowałam już w myślach argumenty na wypadek, gdyby zaczął bronić oryginalnego zakończenia.

— Bez żadnych zastrzeżeń?

— Mam jedno. Musimy zapytać autora, czy zgodzi się na zmianę kolejności akapitów.

— Oczywiście.

— Nie chcę, żebyśmy poprawiali czyjąś historię tylko dlatego, że znaleźliśmy dla niej lepszą kompozycję.

Spojrzałam na niego uważniej.

— To uczciwe.

— Staram się.

W jego głosie nie było fałszywej skromności. Po prostu stwierdzał fakt. Pomyślałam, że właśnie takiego podejścia brakowało mi w kilku poprzednich współpracach. Nie potrzebowałam kogoś, kto zgadzałby się ze mną we wszystkim. Potrzebowałam osoby, która potrafiłaby odróżnić własną ambicję od odpowiedzialności za cudzą pracę.

Po obiedzie przenieśliśmy się do pracowni. Pomieszczenie było niewielkie, ale dobrze oświetlone. Przy jednej ścianie stały regały z papierem, a pod oknem ustawiono szeroki stół. Na środku znajdowało się miejsce, gdzie mogliśmy rozkładać większe arkusze. W powietrzu unosił się delikatny zapach drewna i farby drukarskiej.

Rozłożyłam swoje szkice. Lesław przyniósł wydruki tekstów, a także kilka propozycji układu rozdziałów. Nie zaczęliśmy od omawiania wszystkich materiałów. Zamiast tego postanowiliśmy wybrać trzy historie, które mogłyby wyznaczyć ton całej publikacji.

Pierwsza dotyczyła zakładu krawieckiego. Druga niewielkiego dworca, na którym od lat nie zatrzymywały się pociągi pasażerskie. Trzecia opowiadała o mieszkaniu, które przez kilka miesięcy stało puste po wyjeździe jego właścicieli za granicę.

— Nie chcę zaczynać od najmocniejszej historii — powiedział Lesław, przeglądając teksty. — Jeśli pierwsze strony będą zbyt ciężkie, czytelnik może nie znaleźć przestrzeni na własne wspomnienia.

— A jeśli zaczniemy od czegoś zbyt neutralnego, nie będzie miał powodu, żeby zostać.

— Czyli potrzebujemy czegoś, co otwiera drzwi, ale nie mówi od razu, co znajduje się w środku.

— To akurat brzmi jak zadanie dla ilustratorki.

— Nie odbieram pani pracy.

— Jeszcze.

Uśmiechnął się.

Zaczęliśmy rozkładać kartki na stole. Przesuwałam je, zmieniałam kolejność, porównywałam fragmenty tekstów z własnymi szkicami. Lesław czytał na głos niektóre zdania, czasem zatrzymując się przy pojedynczym słowie. Nie robił tego teatralnie. Czytał tak, jakby sprawdzał, czy rytm tekstu pasuje do obrazu, który powoli powstawał w naszej rozmowie.

W pewnym momencie zauważyłam, że przy jednym z moich szkiców zatrzymał się dłużej. Przedstawiał pusty korytarz z otwartymi drzwiami. Na podłodze leżał prostokąt światła, a na ścianie widniał cień po zdjętym obrazie.

— To nie jest ilustracja do zakładu krawieckiego — powiedział.

— Nie.

— Do którego tekstu ją pani przypisała?

— Jeszcze do żadnego.

Przyjrzał się rysunkowi.

— Wygląda jak miejsce, z którego ktoś wyszedł, ale nie zamknął za sobą drzwi.

— Może dlatego, że nie chciał ich zamykać.

— Albo dlatego, że zamierzał wrócić.

Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi. Odłożyłam ołówek.